

# Marek Sztabowski: Wróżbita II

Tymczasem stolika Wróżbity przechodził ogromny kapelusz.

Sombrero sięgające kilku meksyków z doczepionym u dołu drobnym chłopiną,  
rzadkim jak złudzenie.

Srebrnosiwe wąsy zwisały do ziemi malując

dwa wyjątkowo mokre rowki w błocie.

Całość wyglądała jak owa nierozsądna kolej wąskotorowa,

która wylania się niekiedy z jednego brokułu mgły

by natychmiast przepaść w bemolu drugiej

*moja żona lubiła amigo*

*rznąła w karty i przegrywała*

*zrozpaczona piła borygo*

*ziąła*

- poniosło się asfaltem wieczornego nieba,

poniosło się ku znów tej samej pierwszej gwiazdce,

aby dokładnie pośrodku bezsensu minąć się z echem

*mój męzulek piku piku chorował*

*zaskórniaczka miał serce w skarpecie*

*choć do śmierci ani mru ani słowa*

*umarł przecie*

Echo, chłopina, wąsy, oraz to wszystko co napisane powyżej

zniknęło równie szybko jak się pojawiło dając pole do popisu

rozbudzonej wyobraźni.

- Idiotyczne -

zagaił Wróżbita.

- Ale ustawia nas realnie w świecie

zaoponował Marco przez Pola.

- To dzięki takim chwilom, beznadziejnie głupim i absolutnie

nieoczywistym istniejemy bardziej, wydając się normalni.

- A te piosenki?

- Są jak dno szklanki z herbatą, bez którego nie wiedzielibyśmy, ile

łyżeczek cukru wsypać. Poza tym - łyżeczka wpadałaby do szklanki

raz na zawsze. Ów chłopina (ja wiem, wiem, że nierealny i głupi)

potrzebny jest całemu światu, aby mógł istnieć

w swoim wyobrażeniu oczywistości, a Ziemia kręciła się

w jedyną słuszną stronę

dookoła Księżyca, czy jak to teraz mówią, podług aktualnego stanu wiedzy.

- Zostawmy chłopinę w sombrero. Lepiej zobaczę, co

tymczasem urosło w Kartach -

zachnął się Wróżbita.

*Nie tak, nie tak, nie nie, nie nie tak*

*- w pustym kościółku szepcze echo.*

*To lichy w ciszy sieje zły mak*

*i piołun wlewa w gardła uśmiechów.*

*Nie tak, nie tak, nie nie, nie nie tak*

*- gwiazdy cekinów w welonie młodej*

*szponami szarpie cienisty ptak,*

*zgaszone rzuca na podłogę.*

*Gdzieś tam, nad ranem śnią wesele*

*i w tańcu suknię przytulił frak,*

*a echo lata po kościele:*

*nie tak, nie tak, nie nie, nie tak...*

*- Zupełnie bez sensu i nie na temat*

*zapropomował Marco.*

*- A poza tym, to takie oczywiste morałki.*

*Wróżbita wyciągnął telefon komórkowy i spojrzał przeciągle*

*w pocerową snami nadciągającą noc.*

*- Telefon też jest oczywisty.*

*Nawet małpa w ZOO wiedząc, że to nie banan -*

*pieprznie nim o ziemię i poszuka czegoś*

*jadalnego dla siebie*

*oczywiście zapalamy światło*

*wjeżdżamy samochodem do automatycznej myjni*

*wybierając stosowny jesienny program*

*w międzyczasie oglądamy zdjęcia z Marsa*

*oczywiście - oczywiście*

*nic nie rozumiejąc*

Tu Wróżbita roztrzaskał telefon o chodnik  
i wyciągnął z torby banana

### **Wróżbita**

*w pozał się boże małym miasteczku  
w nudnej godzinie, gdzieś bez adresu  
potrafi przecież wykluc się  
coś zgoła nieoczekiwanie innego*

### **banan**

*a trawy wtenczas rosną, zielenią  
całkiem zwyczajnie  
starzeją się*

### **Wróżbita**

*więc zrozpaczona, bez szans na jutro  
spotkała gościa i stało się  
z brzuchem chodziła, tak stało się, że  
pomyliła kalendarzyk z numerem jego jedyne kołnierzyka*

### **banan**

*a drzewa wówczas po prostu szumiały  
tak jakby szumiały  
bez tego całego wszystkiego*

### **Wróżbita**

*ten gość to aparat był, bo  
aż dotąd przez życie bez butów szedł  
choć nie pił tego, nie klął jak szewc*

*jakby z galery złudzeń zbiegł*

### **banan**

*jesień akurat pryskała sady, i*

*deszcze jak dreszcze ciągnęły skądś*

*jesienne chmury kaszlały wciąż*

### **Wróżbita**

*ci pokochali się, psioczyły baby*

*nawet za mocno jej nie tłucze?*

*ten inny człowiek*

*ten dobry mąż*

### **banan**

*ziąb jak próchnica wykruszał liście*

*latarnie wcześniej kiwały się*

*(jeśli oczywiście posiadały aktualne żarówki)*

### **Wróżbita**

*lecz wyobraźcie sobie: tamtych dwoje*

*raz tam nie dokręciło gazu*

*ona umarła od tego w łóżku*

*on trochę dalej (i nie od razu)*

### **banan**

*czterdzieści dni listopad był*

*w tym pożał się boże nudnym miasteczku*

*w pustym pokoju skrzypiały drzwi*

Kiedy Wróżbita przełknął ostatni kęs banana, Marco zakrzyknął:

- A to mi się podoba!

Przygnębiające i nie ma sensu, więc ma sens,

zatem dobrze oddaje Istotę Miłości.

Można by powiedzieć: jest do dupy!,

a ta, jak wiadomo, to pięta achillesowa każdej Miłości -

wystarczy celnie trafić, aby zabić nawet te pozornie nieśmiertelne

*jesteś północą a ja północą*

*srebrzystą konewką gaszę minionych facetów*

*przemijam jak przemijali*

*gasząc srebrzystą konewką minionych facetów*

*cipuszko, a co byś powiedziała*

*gdybym pozostał do rana?*

*od dębu wypłakał się raz do brzozy*

*zobaczyć, czemuż to jesteś północą*

*a ja muszę gasić srebrzystą konewką minionych facetów*

*przemijać jak przeminęli*

*gasząc srebrzystą konewką minionych facetów*

*cipuszko*

*cip uszko!*

*cip cip uszko?*

*w twoich oko licach jest mnóstwo dymu*

*zwęglone ślady cygar minionych facetów*

*podejdz*

*szepnę ci, że i tak cię kocham*

*zanim przeminę*

*zgaszony srebrzystą konewką*

Blaknąc powoli, słowa srebrzystej konewki odsłaniały kolejne  
polany wilgotnej nocy, kosmiczne tratataj wozy wyjeżdżały na czarne plaże  
ciągnąc za sobą kłęby słonecznych spalin.

Na dole ludzie, jak zwykle mordowali ludzi, umierali ze starości albo  
po prostu ginęli wysadzani w locie przez terrorystów z porwanych samolotów.

Na szczęście dla degradacji środowiska naturalnego,  
większość ludzi w tym samym czasie produkowała nowych ludzi  
z krótkotrwałą gwarancją przyszłości, a

*Pewien poeta napisał wiersz.*

*Wiersz piękny, piękniejszy od niego.*

*Temu poecie, nie wiem czy wiesz -*

*skrzydła urosły z tego.*

*Potem, rzecz nie do wiary,*

*poeta wyleciał kominem!*

*Psuł na ratuszach zegary*

*i miał przy tym wesołą minę.*

*I całe szczęście, powiem szczerze,*

*że nie wydali mu tego wiersza.*

*Zaś ów poeta? - w taniej operze*

*gra dziś zielonego świerszcza.*